

Zegarmistrz starej daty

Dlaczego starzy ludzie wolą umierać w domu niż w szpitalach, klinikach, domach starców, pięknie nazywanych Domami Seniora, otoczeni opieką i ludźmi? Przecież niejednokrotnie w tym domu są sami, no, może czasem w towarzystwie psa lub kota, które po odpowiednim przeliczeniu im lat, są równie starzy jak ci ludzie i również potrzebują opieki. A te domy? Często starsze od nich samych, z twarzami Jezusa czy też Maryi, wykwitłymi na zagrzybionych ścianach, przed którymi stawiają świece i modlą się godzinami.

Zegarmistrz starej daty, jak o nim mówiono, pochylał się nad damskim zegarkiem kieszonkowym, z delikatnym złotym naszyjnikiem, który kobiety dawniej mogły nosić również na szyi, w stylu vintage z 14 karatowego złota i diamentami otaczającym wianuszek cyferblat z masy perłowej. Firma Patek Philippe & Cie. Czyli, że zegarek powstał po 1851 roku, bo to wówczas założyciel firmy Antoni Patek, po opuszczeniu przedsiębiorstwa przez współnika i współzałożyciela Franciszka Czapka, z związał się z francuzem, Adrien Philippe, inżynierem, który w 1844 roku opatentował mechanizm naciągowy z koronką, dzięki któremu nie trzeba już było używać kluczyka do nakręcania. Tu jednak kluczyk do nakręcania zachował się oryginalny.

Stary musiał wziąć najmocniejszą lupę jaką posiadał, pamiątkę po ojcu, który również był zegarmistrzem, umocował ją w prawym oku, nie dlatego, że był prawo ręczny, ale ponieważ to oko było zdrowsze od lewego i odczytał napis umieszczony na kopercie:

- Elźbiecie, kobiecie moich marzeń

- No, no. Kto by pomyślał, że ubogo wyglądająca staruszka, przyniesie mi taką perłę. Ten świat nie przestaje mnie zadziwiać. Renowacja tego cacka będzie trochę kosztować, chociaż jak na te lata, to o dziwo jest w dobrym stanie.

Wstał, wyjął lupę z oka i włożył ją do małego drewnianego pudełeczka. Przyjrzał mu się uważnie. Napis na wieczku, Mistrz Antoni, był już tak wyblakły i wygłaskany przez jego dłonie, że prawie niewidoczny. Prezent od ojca – pomyślał. Nigdy nie zapomni tego dnia, kiedy uzyskał tytuł mistrza. Słońce świeciło, nie tak jak dziś, że człowiek w środku lata musi zakładać serdak. Lato 1968 rok było cudowne, pełne słońca, poczucia wolności mimo tego co działo się wokół i miłości. Po zdanym egzaminie zaczął pracę w zakładzie ojca, istniejącym od 1929 roku a którego założycielem był nie kto inny jak jego dziadek, Jan Darwiński. Czasy były wówczas niedobre dla zegarmistrzów. Ojciec, mimo niezwykle dokuczliwych represji ze strony władz, nie poddawał się i nie chciał wstąpić w szeregi spółdzielni. Tylko dzięki temu, że było to na Ziemiach Odzyskanych, gdzie władza starała się dbać o przychylność ludności, udało mu się ocalić zakład. Potem, w kolejnych latach, on, już jako właściciel, stawiał czoła władzy, z dobrym skutkiem trzeba przyznać.

Odłożył pudełeczko na miejsce, na szafkę z niezbędnymi narzędziami zawieszoną nieco powyżej głowy, tak aby nie musiał wstawać podczas pracy. Wziął zegarek, podszedł do ściany, otworzył niewielki sejf, pierwszy raz od niepamiętnych czasów i położył go delikatnie na aksamitnej poduszeczce pamiętającej dużo lepsze czasy. Oparte o ściankę sejfu stały stare, pożółkłe zeszyty. Spojrzał na nie przez chwilę a potem zamknął drzwiczki, przekręcił klucz i schował go w kieszeni marynarki.

Zdjął z wieszaka wyświechtany serdak ze świecą płamą na plecach, wytartą od krzesła, na którym siedział pracując, na drzwiach zawiesił kartkę, zaraz wracam, przekręcił klucz w zamku, jeszcze sprawdził czy dobrze zamknięte łapiąc za klamkę i kilkakrotnie naciskając. Potem ruszył w górę, po pięciu kamiennych schodkach, wytartych butami dziadka, ojca, jego, czeladników i klientów. Lekkie wyżłobienia w stopniach ułatwiały mu wspinaczkę, bo teraz to była wspinaczka. Poręcz, z której resztki lakieru łusz-

czyły się i zwijały jak w lodziarni U Leokadii, do której chodził z matką, będąc dzieckiem, chwiała się pod naciskiem jego dłoni. Stawiając stopę na wgłębieniu trzeciego kamiennego stopnia, myślał o Pani Leokadii, właścicielce owej lodziarni, która odziana w żółty fartuszek z niebieską oblamówką, nakładała gałki lodów w skupieniu widocznym na jej twarzy i wówczas, podczas tej czynności, spod gałkownicy wychodziły cieniutkie strugi, zawinięte to do góry, to na bok i wyglądające jakby chciały uciec od swojego przeznaczenia.

Kiedy już jego ciało znalazło się na gładkiej, niedawno odremontowanej powierzchni chodnika, jego nogi, bez rozkazu przesłanego z góry, ruszyły w kierunku kawiarni Wilk, do której chodził każdego dnia niezależnie od pogody, pory roku, czy złego samopoczucia. Siadał zawsze przy tym samym stoliku, w rogu sali, gdzie miał dobry widok na ulicę, spacerujących bądź pędzących za swoimi sprawami ludzi, opadające liście z drzew, mieniające się żółcią, czerwienią, pomarańczem, tańczące w powiewach wiatru. Patrzył, popijając małymi łykami czarną kawę z cukrem, luksus, na który pozwalał sobie od tak dawna, że nie był w stanie sobie tego przypomnieć, na wysychające w słońcu kałuże, światło odbijające się od szyn tramwajowych, wystawy sklepowe po drugiej stronie jezdni, zmieniane tak często, że aż się w tym gubił.

- Serwus, zaklinaczu czasu – postawny mężczyzna po pięćdziesiątce, z łysą, błyszczącą jak kula bilaradowa głową, pochylił się nieco nad staruszką, podając ciężką, szeroką dłoń.

- Wiesz czemu masz tak dużą głowę?

- Wiem, mówiłeś mi to już tyle razy.

- Gdybyś pracował fizycznie, jak Pan Bóg przykazał, nie miałbyś tej głowy jak arbuza – staruszek zaśmiał się, lecz po chwili kaszel wstrząsał jego ciałem.

- Dałbyś już spokój tym żartom. Wiesz, że nie możesz się śmiać, a ciągle robisz to samo. Teraz jak widzisz, pracuję fizycznie, może nie tak jak ty byś sobie wyobrażał, ale dobre i to, ale ty też nie pracujesz fizycznie a twoja głowa za to wygląda jak suszona śliwka.

- Wiem, mówiłeś mi to wiele razy – znów zachichotał zegarmistrz - Zrób mi kawę, tylko nie jakiejś lury z tej syczącej, diabelskiej maszyny. To dobre dla turystów albo wymoczków.

- Wiem, wiem. Dzięki tobie nauczyłem się parzyć kawę po turecki, czego muszę przyznać nigdy nie umiałem i nie miałem pojęcia, że taki rodzaj kawy ma na świecie tylu zwolenników. Dobrze staruszkę, zaraz wracam z kawą.

- Profesor literaturoznawstwa robiący kawę. Też mi coś – mamrotał pod nosem stary, kiedy mężczyzna oddalił się nieco.

Za oknem ociążały chmury sunęły ponad dachami domów, a niestrudzone słońce nie poddawało się w próbach rozświetlenia ulic. Szum aut prawie nie dochodził tutaj. Z tyłu, na końcu lokalu, cicho szumiał klimatyzator i stary pomyślał, że dobrze by było mieć taki w zakładzie. Niestety, musiał mu wystarczyć mały, pomarańczowy wiatraczek krajowej produkcji, firmy Predom, działający od końca lat siedemdziesiątych. Wielokrotnie naprawiany, z pękniętą obudową, wciąż szumiał i dawał nieco wytchnienia, co sprawiało, że stary w dniach, kiedy powietrze na ulicach miasta stało niemal w miejscu, klejąc się do ciała i sprawiając wrażenie, iż można by je kroić nożem, czuł się bezpiecznie, zamknięty w swoim małym królestwie.

- Oto królowa kaw, mistrzu! Według ciebie oczywiście – mężczyzna postawił przed staruszką małą filiżankę kawy, porcelanową cukierniczkę, bo stały klient nie tolerował żadnych papierowych torebek, z podejrzaną zawartością jak sam często powtarzał oraz szklankę wody obok.

- Noo! To jest coś, na co czekam każdego dnia wstając rano z łóżka – podniósł ze stolika cukiernicę, zajrzał pod spód i zadowolony z przeprowadzonej kontroli, rzekł:

- Ćmielów! Siadaj Jasiu, porozmawiamy chwilę.

- Ćmielów, Ćmielów – odparł uśmiechając się były profesor literaturoznawstwa – Gdybym dał coś innego, to słuchałbym przez miesiąc twoich wymówek. No, no, Antoni, tylko bez takich tam proszę – wyjął z drżącej dłoni staruszka filiżankę i odłożył na miejsce, mówiąc:

- Też Ćmielów, nie musisz sprawdzać. Tak, wiem, kiedyś podały ci dziewczyny kawę nie w twojej ukochanej filiżance, ale to przez to, że mnie nie było na miejscu. Gdybym miał takich klientów jak ty, poszedłbym z torbami, kupując porcelanę tylko znanych firm, nie wyrobiłbym. Nawet nie masz pojęcia, ile ludzie tłuką szklanek, filiżanek, talerzyków. Najgorzej jest w trakcie imprez, kiedy wszyscy na rauszu, tracą kontrolę na ciałem.

Jan Boduszewski, niegdyś profesor literaturoznawstwa był wielkim miłośnikiem Jacka Londona, co można było od razu zauważyć po wystroju lokalu. Zdjęcia, portrety, obrazy, maszyny do pisania i książki na parapetach zamiast kwiatów, wszystko to czyniło, że kawiarnia Wilk, miała jedyny i nie powtarzalny klimat w mieście. W południe był tu jeszcze spokój, ale wieczorami zlatywały się kolorowe ptaki, jak mawiał o nich Jan. Malarze, pisarze, muzycy, nieco odklejeni od rzeczywistości poeci, wiecznie coś piszący na skrawkach karteczek, aktorzy i wszyscy, którym nieco inaczej w duszy gra. Odbywały się tu koncerty, wystawy obrazów, spotkania z poezją. Potem były rozmowy. Ciągnęły się jak pociąg towarowy, długie i kręte, często wjeżdżając na stację końcową z pierwszym blaskiem słońca.

Jan przejął kawiarnię po swojej przyjaciółce, Wioli, która zbyt wcześnie odfrunęła do tego niby lepszego świata. Nie było to jego marzeniem, ale lubił ten lokal, jego klimat i tych ludzi, chociaż często powtarzał, że brakuje mu studentów, półmroku uniwersyteckiej biblioteki, w której zanim poznał Wiołę, spędzał długie godziny i tych rozmów, przesyconych profesorskimi mądrościami, rozjaśniającymi umysł i nieco ciężkawym dowcipem. Odchodził z ciężkim sercem i pełen wątpliwości, żegnany przez swoich studentów oklaskami. Dostał od nich również zegarek marki Sekonda z białą tarczą i skórzanym czarnym paskiem. Śmiali się, wręczając go, że mając zegarek na ręku nie będzie się spóźniał z otwieraniem lokalu. Wszyscy którzy go znali, wiedzieli, że Janek jest spóźnialski i umawiając się z nim na jakąś konkretną godzinę, trzeba z góry przyjąć, że będzie się na niego czekać. Pochłaniało go czytanie. Kiedy brał książkę do rąk i podążał za wybujałą fantazją autora, świat przystawał w miejscu, a można by wręcz powiedzieć, że przestawał istnieć, choć niestety tylko dla niego. Inni tego nie rozumieli. Wciąż wydzwaniali, prosząc o coś lub zadając pytania, na które nie zawsze znał odpowiedzi. Jeszcze pół biedy, jeśli temat dotyczył książek, ale jeśli zaczęli mu opowiadać o problemach z żonami, mężami, bo i koleżanki czasem dzwoniły, dziećmi, brakiem awansu czy podwyżki, starał się szybko kończyć takie rozmowy, tłumacząc się nawałem pracy lub pilnym wyjściem z domu.

Usiadł, odsuwając nieco krzesło i podniósł rękę do góry, przyzywając w ten sposób młodą dziewczynę zapisującą zamówienie w małym bloczku.

- Madziu, jak skończysz to podejdź proszę na chwileczkę.

- Już podchodzę, panie prof – urwała, dostrzegając wzrok Jana, niekryjący dezaprobaty.

Po chwili dziewczyna schowała notes i długopis do kieszonki w czarnym fartuchu i podeszła do nich.

- Madziu, zrób mi proszę espresso i przestań mówić wreszcie do mnie profesorze. Tyle razy was o to prosiłem i tłumaczyłem. Od dwóch lat nie jestem już profesorem. Jeśli już koniecznie chcecie mnie jakoś tytułować wystarczy zwykłe pan. Rozumiemy się?

- Tak – dziewczyna zwiesiła nieco głowę, także ktoś kto nie słyszał ich rozmowy mógł pomyśleć, że mężczyzna, może niezadowolony klient, może ojciec, którego córka uciekła z rodzinnego domu, poucza ją a jej jest po prostu przykro.

- To idź, zrób mi kawę, bo mój specjalny gość nie ma zbyt wiele czasu.

- No widzisz, jak to z tymi studentami jest – zwrócił się do zegarmistrza, kiedy dziewczyna poszła robić kawę - Ciągłe im się wydaje, że muszą mnie tytułować, profesorem, a dla mnie to już rozdział zamknięty. Teraz jestem baristą, barmanem, sprzątaczem, zaopatrzeniowcem a czasem spowiednikiem, kiedy klient trochę za dużo wypije wina i przyjdzie mu ochota na zwierzanie, bo i tak czasem bywa. No, ale chciałeś ze mną porozmawiać, więc słucham cię, mój gościu specjalny.

Stary napił się łyżek kawy, starannie odłożył filiżankę na spodeczek i powiedział:

- Była dziś u mnie z rana pewna starsza pani. Nie wiem, jak się nazywa, ale często widuję ją w niedzielę,

jak jestem na spacerze w parku. Siedzi na ławce i karmi ptaki. Mówimy sobie dzień dobry i do widzenia. Siedzę na ławce niedaleko i obserwuję ją, jak tak rzuca chleb a chyba wszystkie ptaki z okolicy zlatują się na ucztę.

- No dobrze Antoni. Czy to jest to o czym chciałeś ze mną rozmawiać?

- Pośrednio. Otóż wyobraź sobie Jasiu, że ta pani przyniosła do mnie rano damski zegarek z 14 karatowego złota, złotym naszyjnikiem, na którym wieszono taki zegarek na szyj, ozdobiony diamentami i z wygrawerowanym na kopercie napisem: Elżbiecie, kobiecie moich marzeń. Po prostu cacko. Firma Patek Philippe & Cie, która w 1851 roku odniosła spektakularny sukces na wystawie światowej. Kupowali u nich zegarek najznamienitsi ówczesnego świata: królowa duńska Luiza, która kupiła zegarek dla męża na prezent, królowa brytyjska Wiktoria, która nosiła go jako broszkę, król Włoch Wiktor Emanuel III i co najciekawsze, papież Pius IX. To nie to co, nie obrażając cię, ta twoja zabawka – Jan dostrzegł jak staruszek mówiąc o tym, drżał a w jego oczach można było dostrzec blask, którego, mimo kilkuletniej znajomości nigdy dotąd nie widział.

- Proszę, panie szefie, pańska kawa – Magda postawiła przed nim identyczną filiżankę z jakiej zawsze pił staruszek i odeszła.

- Nie wierzę w to co widzę. Pijesz kawę z Ćmielowskiej filiżanki? – staruszek aż otworzył szeroko oczy ze zdziwienia.

- No tak, chociaż z przykrością muszę przyznać, że smaku kawy to w niczym nie zmienia.

- To pij z blaszanego kubka, jeśli ci jest wszystko jedno – odparł nieco poirytowany staruszek.

- Dobrze, już dobrze, nie unosi się tak. Mów dalej co z tym zegarkiem i tą panią, która go zostawiła.

- Szefie, telefon do pana – wołał młody chłopak z za baru, trzymając telefon odsunięty nieco od ucha i zasłaniając go drugą ręką – mam podać?

- Nie ma mnie. Oddzwonię później. Mów!

- Zegarek wymaga renowacji. Nie wiem jeszcze jak wygląda w środku, ale mam nadzieję, że nie będzie źle. Bardzo mnie ciekawi historia tego zegarka, bo każdy zegarek ma swoją historię. No może nie każdy, bo cóż by nam mógł o sobie opowiedzieć na przykład twój zegarek. Niby szwajcarski a tak naprawdę składany pewnie w Chinach. Stare zegarki, o te to potrafią opowiadać niesamowite historie.

- Dlaczego po prostu nie zapytasz tej pani, kiedy przyjdzie po odbiór?

- Tak właśnie zrobię, bo dziś się dokądś śpieszyła, chociaż wątpię, żebym usłyszał coś ciekawego. Zapewne to pamiątka po matce, może babce a ta z kolei dostała go od swojej matki lub babki. Mnie przyjacielu chodzi o to, że bardzo, ale to bardzo chciałbym poznać losy tego zegarka od jego powstania, aż po dzień, w którym znalazł się w rękach tej kobiety. Kiedyś był u nas taki zwyczaj, który zapoczątkował mój dziadek, a mianowicie, kiedy zjawiał się klient, z zegarkiem który go zaciekał, brał na zaplecze owego klienta i próbował dowiedzieć się jak najwięcej szczegółów o tym przedmiocie. Jeżeli klient nic nie wiedział na ten temat, dziadek obiecywał, że naprawi go za darmo, byle tylko poznać jego historię. Potem siadał w kantorku i spisywał wszystko co usłyszał. O, mówię ci, Jasiu cóż to za historie: Pojedynki, romanse, zdrady a nawet i porwanie się zdarzyło. Oczywiście mowa tu o dawnych czasach, nie tych ostatnich, gdzie nie ma potrzeby porywać kobiety, bo wystarczy napisać albo zadzwonić a pojedynki zastąpiły wyzwiska w tym całym internecie – sięgnął po szklanekę i upił łyk wody.

- Przyznać muszę, że zainteresowałeś mnie tymi historiami związanymi ze starymi zegarkami – szczególnie nacisk położył na słowo starymi – Czy masz może jeszcze te zeszyty?

- Oczywiście, trzymam je w sejfie – uśmiechnął się i ciągnął dalej – Tak samo robił mój ojciec a potem ja. Był nawet czas, że milicja się mną zainteresowała, bo ktoś doniósł, że za bardzo interesuję się zegarkami, nawet straszili mnie, że postawią mi zarzuty, oskarżali o paserstwo. No nie ciekawy to był czas w moim życiu i trwał dość długo, aż do dnia, kiedy przyszedł do mnie wysokiej rangi oficer z prośbą o naprawę. Zegarek był piękny, Tissot, jeszcze nakręcany kluczykiem. Nieświadomy tego, że wobec mnie jest

prowadzone śledztwo, zaczął mi opowiadać historię męskiego zegarka, a kiedy mu przerwałem i opowiedziałem o szykanach ze strony milicji i dlaczego szczególnie interesują mnie takie opowieści, oburzył się na swoich podwładnych a kilka dni potem dostałem pismo z komendy, iż sprawa została umorzona. Oczywiście, wysłuchałem historii jak to ów przedmiot dostał się do jego rąk, ale nie będę ci teraz tego opowiadał, może kiedy indziej, jeśli będziesz oczywiście chciał.

- No dobrze, Antoni, ale po co właściwie opowiadasz mi o tym?

- Wyobraź sobie, że otwierając kopertę zegarka, natrafiłem na sekretnik.

- Sekretnik?

- Tak, sekretnik a w nim maleńką karteczkę, na której jest coś napisane, ale ja mimo najsilniejszej lupy jaką posiadam, nie jestem w stanie tego odczytać. Wzrok już niestety nie ten.

- Masz tą karteczkę tutaj? – w głosie byłego już profesora dało się wyczuć duże zaciekawienie.

- No coś ty, Jasiu? W sejfie zamknięta!

- To możemy iść teraz do ciebie, może mnie się uda odczytać co tam napisano.

- Co to, to nie! To jest własność tej pani i tylko jeżeli wyrazi zgodę, będziemy mogli spróbować odczytać, owe tajemnicze napisy. Jeśli dostanę zielone światło, będę cię prosił o pomoc.

- Masz rację Antoni, tak należy postąpić. A więc, nie pozostaje nic innego jak cierpliwie czekać.

- Dobrze. Dam ci znać jutro, jaką decyzję podjęła starsza pani. Tylko proszę cię Jasiu ani słowa nikomu!

– dopił resztkę kawy i odstawił filiżankę, na dnie której pozostał osad kawowy i pożegnał się z przyjacielem.

Drugiego dnia przed południem, kiedy to Antoni szykował się do wyjścia do kawiarni i trzymając już rękę na klamce, zobaczył przez szybę w drzwiach, jak właścicielka zegarka zaczyna schodzić po schodkach, trzymając się chwiejnej poręczy. Otworzył szeroko drzwi i wyszedł, by pomóc jej zejść.

- Dzień dobry pani.

- Dzień dobry panu.

- Pani pozwoli, służę ramieniem – dziarsko, jakby mu nagle ubyło co najmniej z dwadzieścia lat wspiął się po stopniach, wziął kobietę pod ramię i pomógł jej zejść.

- Widzi pan, jesteście krusi jak z porcelany.

- Ćmielowskiej porcelany – odparł Antoni wprowadzając kobietę do lokalu i w pośpiechu porządkując krzesło, na którym leżały sterty gazet.

- Nie wiem czy z Ćmielowskiej drogi panie, ale to chyba nie ma znaczenia. Na wiosnę schodziłam po schodach z przychodni, potknęłam się i złamałam rękę. Na szczęście był lekarz na miejscu i udzielił mi pierwszej pomocy a następnie odwieźli do szpitala, ale strach pomyśleć, co by było gdybym była sama w domu. Ręka mnie boli na każdą zmianę pogody.

Usiadła na przygotowanym krześle i poprosiła o szklankę wody.

- Gorąco dzisiaj, że trudno wytrzymać.

- Proszę chwileczkę poczekać, zaraz przyniosę wodę z mieszkania, bo tu akurat mi się skończyła – rozglądał się bezradnie w poszukiwaniu butelki z wodą – Już, zaraz wracam z wodą.

Przeszedł przez lokal, otworzył drzwi i zniknął za nimi. Kobieta, której twarz mimo sieci zmarszczek, wciąż była piękna, tą tajemną urodą, która nigdy nie przemija, nieco tylko przygasa, blaknie jak stara fotografia, rozglądała się po lokalu. Stare, zbrązowiałe dyplomy, na których już prawie nic nie było widać, pożółkłe fotografie z których uśmiechały się do niej nieznanne twarze, wycinki z gazet oprawione w ramki, nic nie były jej w stanie powiedzieć o właścicielu, którego czasem widywała w parku. Siadał zawsze w pobliżu i przyglądał się jak karmi ptaki. Miły, nieco zaniedbany, starszy pan, który zawsze mówił dzień dobry i do widzenia.

- Już niosę wodę – Antoni szedł z butelką wody i szklanką.

- Dziękuję, tak mi się bardzo pić chce. Przepraszam za kłopot.

- Jaki tam kłopot – podał kobiecie szklanekę z wodą i przyglądał się jak pije.
- Dziękuję bardzo.
- Ależ proszę, Może jeszcze dolać?
- Nie, dziękuję – delikatnie zacisnęła wargi, zlizując z nich resztki wody.
- Pozwoli pani, że usiądę? Coś mnie nogi dziś bołą, chyba z tego gorąca.
- Ależ oczywiście. Pan nie musi mnie pytać o pozwolenie, przecież jest pan u siebie.
- Dziękuję – przyniósł krzesło, na którym pracował a pamiętające jeszcze czasy, kiedy siadywał na nim jego ojciec i usiadł.
- No więc panie...
- Antoni. Bardzo przepraszam z tego wszystkiego zapomniałem się przedstawić - poderwał się z niemałym wysiłkiem i podszedł do kobiety, wyciągając dłoń – Antoni Darwiński.
- Pan pozwoli, że nie będę wstawała, po prostu brak mi sił - podała rękę, którą zegarmistrz podniósł i ucałował – Emilia Firley z y na końcu.
- Bardzo mi miło. Pani zapewne w sprawie zegarka?
- Tak w sprawie zegarka. Czy zdołał go pan już naprawić?
- Akurat nie mam za wiele pracy, wie pani jak to jest, dziś ludzie nie naprawiają starych rzeczy, ale je po prostu wyrzucają.
- Niestety panie Antoni, takie mamy czasy, nowoczesność.
- Tak. Po prostu cacko. Firma Patek Philippe & Cie, to jak dzisiaj Rolls-Royce wśród aut. Muszę przyznać, że chyba jeszcze nigdy w swoim długim życiu, nie spotkałem tak pięknego zegarka. Mogłaby pani wziąć za niego niezłą sumkę. Wyczyściłem w nim złoto, udało mi się uratować szkiełko, które ze starości było już matowe, no i poprawiłem kilka drobiazgów w mechanizmie, także zegarek jest piękny i co ważne nadal chodzi, nie można tylko zapominać o jego nakręcaniu. Jest, wszakże jedna kwestia, o której chciałem z panią porozmawiać.
- Jeśli chodzi o pieniądze to nie ma problemu. Długo odkładałam, żeby tylko móc przywrócić mu dawny blask.
- Widzi pani, tu nie chodzi o pieniądze, one są, że tak powiem kwestią drugorzędną.
- Nie chodzi o pieniądze? – zdumiona Emilia Firley spojrzała uważniej na zegarmistrza – Więc o co chodzi, drogi panie?
- Zapewne pani wiadomo, że na kopercie zegarka jest wygrawerowany napis: Elżbiecie kobiecie moich marzeń.
- Zgadza się.
- Czy pani wie kogo dotyczył ten napis?
- Oczywiście. Jest taka tradycja w naszej rodzinie, że ten zegarek zawsze dziedziczą najstarsze córki, a pierwszą jej posiadaczką była Elżbieta Hulewicz, córka zamożnego kupca ze stolicy.
- Coś pięknego! No, no. Co za historia – zegarmistrz aż zatarł z radości dłonie – Ja wiedziałem, że ten zegar musi mieć piękną, miłosną historię, a skoro w grę wchodziła miłość to i tajemnice musiały być.
- Jakie tajemnice, o czym pan mówi?
- No dobrze, a czy wiedziała pani o tak zwanym sekretniku pomiędzy kopertą a mechanizmem?
- O żadnym sekretniku nic nie wiedziałam, co pan mówi?
- To jeszcze nic pani Emilio. W tej tajnej skrytce była ukryta niewielka karteczka, zaraz pani wszystko pokażę – wstał i ruszył w kierunku sejfów, skąd po chwili powrócił z zegarkiem i maleńką karteczką, którą niósł niczym największą świętość na wyciągniętej dłoni.
- Proszę, oto pani skarby – podał zdumionej kobiecie przedmiot i karteczkę, która na jej małej dłoni jakby ożyła, poruszona delikatnym powiewem wiatru.
- Pani wybaczy, to pewnie przeciąg, mam uchylone okno w mieszkaniu a nie domknąłem drzwi.
- To nie przeciąg panie Antoni, drzwi są zamknięte. Co to jest? Co tam jest napisane?

- Nie wiem – stary usiadł na krześle.
 - A powinien pan, przynajmniej bym wiedziała a tak, kobieca ciekawość będzie mnie teraz męczyć. Niech pan z łaski swojej odczyta co tam napisano, bardzo pana proszę.
 - Niestety pani Emilio nie jestem w stanie tego zrobić. Próbowałem, ale wzrok już nie ten i mimo najsilniejszej lupy wszystko mi się rozmazuje.
- Kobieta milczała przez chwilę jakby się namyślając co dalej robić z tym niespodziewanym znaleziskiem.
- Może – odezwała się po chwili niepewnym głosem – ma pan kogoś, komu można zaufać. Kogoś, kto byłby w stanie to odczytać.
 - Hmm - odchrząknął stary – Otóż, proszę sobie wyobrazić, droga pani Emilio, że mam kogoś takiego.
 - Tak? – w głosie staruszki dało się słyszeć zadowolenie – Więc na co dłużej czekać, proszę działać.
 - Zaraz, zaraz! – Antoni wyraźnie się ożywił i wstając z krzesła ruszył w kierunku biurka – Gdzieś tu miałem wizytówkę Jana, mojego przyjaciela, profesora literaturoznawstwa – szczególny nacisk położył na ostatnim słowie i uniósł długi palec wskazujący do góry. Po chwili wyjął wizytówkę Jana Boduszewskiego, włożył okulary, podszedł do aparatu telefonicznego i zaczął wybierać numer.
 - Jedną chwileczkę pani Emilio, zadzwonię do Jasia i poproszę go, żeby tu do nas przyszedł.
 - Ależ proszę. Mam nadzieję, że ten pan będzie mógł przyjść.
- W słuchawce odezwał się męski głos:
- Kawiarnia Wilk, słucham.
 - Jasiu?
 - Przy telefonie.
 - Czy mógłbyś przyjść do mnie?
 - Teraz? Nie za bardzo mogę Antoś, zaraz przywiozą mi towar i powinienem być na miejscu.
 - Jest u mnie pani Emilia i proszę cię Jasiu w jej imieniu, żebyś tu do nas przyszedł i pomógł w odczytaniu wiadomego tekstu.
 - Czeka, czeka! Czyli, że...
 - No tak, będziemy mogli, dzięki temu tekstowi, cofnąć się o ponad sto lat i zaspokoić ciekawość nie tylko pani Emilii.
 - Eryk, odbierzesz towar od dostawcy – usłyszał stary w słuchawce głos przyjaciela wydającego polecenia personelowi – Ja muszę wyjść i nie wiem, kiedy wrócę – Będę u was za pięć minut.
 - Zaraz będzie, niedaleko stąd ma kawiarnię Wilk – stary nieświadomie zacierał ręce – Może przejdziemy do mojego mieszkania? Usiądziemy w salonie przy stole, zrobię kawę, bo tu, sama pani widzi, za dużo miejsca nie ma.
 - Może rzeczywiście lepiej nam będzie u pana w salonie – rozejrzała się jeszcze wokół i ruszyła do drzwi łączących lokal z mieszkaniem – Trochę ciemno tu pan ma, mało słońca.
 - Przyzwyczaiałem się. Mieszkam tu od urodzenia, mieszkali tu moi rodzice i dziadkowie. To mój świat, droga pani, tu się czuję najlepiej.
- Przeszli przez kuchnię, gdzie Emilia zauważyła stertę talerzy i garnków piętrzących się w zlewie zalanym do połowy wodą i pomyślała sobie o Antonim coś, czego z pewnością wolałby nie słyszeć. W salonie, dwa okna, poza którymi jakieś pół metra poniżej parapetu był chodnik i widać było tylko nogi przechodniów, nie dawały zbyt wiele słońca, gdyż wychodziły na północną stronę. Stary dębowy stół, taki, jakie dawniej widywało się często, z szufladami i toczonymi, masywnymi nogami, stał między oknami, przykryty białym w miarę czystym obrusem, co nieco podniosło na duchu staruszkę.
- Proszę siadać – odsunął krzesło i pomógł kobiecie usiąść – Zaraz zrobię coś do picia. Kawy, herbaty czy może wody?
 - Poproszę małą kawę.
 - Po polsku, czy po turecku pani pija, bo niestety nie mam maszyny.
 - Sypaną, proszę z łyżeczki tylko takiej pełnej. Nie wiem jaka jest kawa po turecku, nigdy nie piłam.

- Pozwoli pani, że przyrządzę po turecku. Ja tylko taką piję i innych nie uznaję.
 - Więc niech pan zrobi po turecku, może i mnie posmakuje.
- Dzwonek zawieszony przy drzwiach oznajmił, że ktoś przyszedł.
- Pewnie Jasiu. Pójdę zobaczyć i zrobię kawę.
 - Panie Antoni, musimy się rozliczyć za zegarek! Wygląda jak nowy, pięknie pan to zrobił!
 - Jak wrócę to przedstawię pani moją propozycję. Przepraszam – odwrócił się i zniknął w drzwiach łączących salon z kuchnią.
 - Wszędzie zegary – pomyślała rozglądając się po pokoju.
- Salon rzeczywiście był królestwem zegarów. Cykały, jedno lekko, jak cykady inne ocieężałe, jakby leniwie a jednak ta kakofonia dźwięków po dłuższym i uważnym wsłuchaniu, stawała się jednym wielkim wahadłem odmierzającym upływający czas. Niegdyś piękny, kolorowy dywan, beżowo, biało, kremowy z akcentami szarości i czerni a nawet lekkimi odcieniami niebieskiego, zieleni i szarości na, jakżeby inaczej, czerwonym tle, leżał obok starej wersalki na cienkich nóżkach. Na dywanie stała ława, a pod jedną ze ścian stał duży, oszklony kredens, z którego spoglądały na nią filiżanki, dzbanuszki na mleko zwane mlecznikami, sosjerki, cukiernice, dzbanki, dzbanuszki, figurki i czego dusza zapagnie, niczym w sklepie z porcelaną. Białe, połacane, różnokolorowe, rozjaśniały to nieco ponure pomieszczenie. Dwie pary drzwi dwuskrzydłowych prowadziły do kolejnych pomieszczeń.
- Jestem – usłyszała głos Antoniego wchodzącego do pokoju z nieznanym jej, postawnym mężczyzną – To jest Jan, mój przyjaciel.
 - Bardzo mi miło panią poznać. Jan Boduszewski – wyciągnął dłoń w stronę siedzącej która próbowała wstać, by się przywitać – Proszę siedzieć, niech się pani nie trudzi, droga pani Emilio.
 - Emilia Firley – usiadła i wyciągnęła dłoń w kierunku mężczyzny.
 - No dobrze, nie traćmy czasu. Zaraz podam kawę, tobie oczywiście po turecku Jasiu!
 - Jakżebyś śmiał inną kawę pijać w twoim królestwie – odsunął krzesło i usiadł obok kobiety.
 - Bardzo dobry wybór. Masz tam dwie lupy i zaczynaj a ja idę robić nektar bogów – odwrócił się, podszedł do kredensu, wyjął trzy filiżanki i ruszył w stronę kuchni.
 - Pomóż ci Antoś?
 - Siedź Jasiu, siedź. Dam sobie radę.
- Wyszedł a Jan ostrożnie wziął karteczkę, rozłożył i położywszy na otwartej, lewej dłoni, wziął lupę i próbował odczytać napis.
- Tykanie zegarów wydawało się udręką dla staruszki. Próbowała dostrzec cokolwiek, przez szkło powiększające, które podał jej Boduszewski, ale litery rozmazywały się i nie chciały układać w całość.
- Coś pan odczytał już?
 - Jest kawa – staruszek wolnym krokiem szedł w stronę stołu, trzymając w rękach tacę z filiżankami i cukiernicą. Antoniemu trzęsły się ręce, nie wiadomo czy z emocji, wzruszenia czy po prostu wiek dawał o sobie znać.
 - Ostrożnie, żebyś nie wylał!
 - Nie wyleję, nie bój się. Tak źle ze mną jeszcze nie jest – postawił delikatnie tacę, zdjął filiżanki, cukiernicę, przyniósł z kredensu spodeczki, postawił na nich filiżanki z kawą i usiadł na wprost Jana – Masz coś?
 - Nie wszystko można odczytać, czas zrobił swoje, litery wyblakły, ale nie mówię, że nic nie mam.
 - Mów, na litość Boską nie trzymaj nas w niepewności! – niemal wykrzyknął staruszek.
 - Panie Janku, proszę nie trzymać nas dłużej w niepewności. Z tego wszystkiego zaschło mi w gardle a kawa jeszcze gorąca.
 - Ależ ze mnie gapa, zapomniałem o wodzie!
 - Siedź, ja pójdę – odsunął krzesło, żeby wstać, ale powstrzymały go słowa przyjaciela i dłoń Emilii, która złapała go za przegub ręki prosząc:

- Niech pan powie co tam napisano!

Usiadł, wziął kartkę, na której zapisał odczytane litery a te nieczytelne oznaczył kropkami i podał ją kobiecie.

- Pan wybaczy, ale nie mam ze sobą okularów. Tylko tyle? Te kilka słów i to wszystko?

- Zgadza się, to tylko kilka słów skreślonych nieznana ręką, chociaż może pani coś powiedzą te inicjały na dole: A.R. – otworzę okno, bo duszno tu.

- Tak to dobry pomysł. O, zdecydowanie lepiej. Amelia Różycka. Była moją cioteczną praprababką, urodzoną w 1884 roku w naszym mieście, tu przeżyła całe swoje krótkie życie, czasem tylko wyjeżdżając do wód i tu zresztą zmarła. Urodziłam się w 1947, a więc dzieliło nas 63 lata.

- Na kopercie mamy wygrawerowane: Elżbiecie kobiecie moich marzeń a w środku znajdujemy karteczkę z inicjałami A.R. Czy może pani nam to wyjaśnić.

- Pierwszą posiadaczką zegarka była Elżbieta Hulewicz urodzona w 1843 w Warszawie. Otrzymała go jako prezent od męża Józefa w dniu ślubu w 1863 roku. Następnie zegarek przekazała w roku 1882, wychodzącej za mąż za mecenasa Ignacego Różyckiego, córce Zosi. Rok później młodzi przenieśli się z Warszawy do naszego miasta i tu w roku 1884 przyszła na świat Amelia, która zostawiła nam wiadomość, o której przez ponad sto lat nikt nie miał pojęcia. O Amelii wiem tyle, że zrozpaczona tym, że rodzice chcieli ją wydać za mąż za starszego o 15 lat oficera, którego nawet nazwiska nie znam, w roku 1903 wyskoczyła z trzeciego piętra, kończąc swoje krótkie i tragiczne życie. Potem zegarek trafił do rąk młodszej siostry Amelii, Joanny. Jestem ósmym pokoleniem kobiet z naszej rodziny, które go dziedziczyły i niestety ostatnim. Moja córka mieszkająca w Anglii, nie chciała kontynuować rodzinnej tradycji i powiedziała, że owszem zegarek przyjmie, ale tylko po to by go sprzedać, więc podjęłam decyzję, że po mojej śmierci, trafi do miejskiego muzeum.

- Przepiękna historia, lecz szkoda, że z dramatem w tle. Może uda nam się rozwiązać zagadkę i dowiemy się co chciała przekazać Amelia. A oto co udało mi się odczytać, będę literował – wziął kartkę w rękę i zaczął czytać powoli:

- W ...r... ie... ia...ł pa.i

- Nie mam pojęcia co to może oznaczać. Czyli tajemnica nadal nie rozwiązana – dało się usłyszeć rozczarowanie w głosie staruszki.

- Ależ cierpliwości, droga pani. Musimy wspólnie się zastanowić, co takiego chciała przekazać pani babka potomnym.

Siedzieli, pochyleni nad kartką papieru, pisali, kreślili, drapali się bezradnie po głowach. Po godzinie i kolejnej kawie wypitej przez Jana wyszło im:

- W ...r... ie... ia...ł pali

- Wiele nie wymyśliliśmy, ale zawsze coś. Może ona coś ukryła i tu jest wskazówka? – zastanawiał się Jan.

- No dobrze, ale jak my mamy odnaleźć coś, co ktoś ukrył ponad sto lat temu? – zapytała Emilia.

- Jest tu słowo pali, które udało nam się odczytać. Może ona coś spaliła przed śmiercią? – włączył się do rozmowy Antoni.

- Chyba, że... - Jan potarł czoło ręką – chodzi o... Ale nie, to bez sensu.

- Mów Jasiu, nie trzymaj nas w takim napięciu!

Jan wpisał w brakujące miejsca słowa i wszyscy ujrzeli napis:

- W starym piecu diabeł pali

- Co! Może chodzi o to, że spaliła coś?

- Było kiedyś takie przysłowie: W starym piecu diabeł pali, a chodziło o to, że starsi ludzie często zaskakują temperamentem. Była też powieść Kraszewskiego z 1879 roku, ale nie wydaje mi się, żeby panna Amelia to właśnie miała na myśli. Może chodzi o piec? Nie, to bez sensu, bo nawet gdyby ukryła coś w piecu, to tego pieca z pewnością już dawno nie ma.

- Co pan powiedział? Że może chodzić o piec?

- No tak, ale nawet gdyby rzeczywiście o niego chodziło, to już dawno nie istnieje. Wie pani, ludzie dawniej mieli w domach różne wymyślne skrytki o których my nie mamy pojęcia. Możliwe, że ukryła coś w skrytce w piecu, może któryś z kafelków był tak zamocowany, że można go było łatwo wyjąć by coś ukryć.

- Jest taki piec w moim mieszkaniu, ma z pewnością ponad sto lat. Mieszkam w mieszkaniu, w którym mieszkali rodzice Amelii. Dawniej cała kamienica należała do rodziny, ale po wojnie, która obeszła się z nią dosyć łaskawie, zostawiono nam to mieszkanie. Córka bardzo chciała kiedyś, aby ten piec wyburzyć, ale jest tak piękny, że nie pozwoliłam, nawet się z nią o to pokłóciłam. Nie pali się już w nim oczywiście, ale jest tak piękny, że cieszy oko, nie tylko moje zresztą.

- Bardzo możliwe, że chodzi o ten piec, ale nie wykluczone, że o całkiem inny, który już dawno wyburzono. Dawniej w każdym pomieszczeniu, były takie piece, ale wiadomo, założono centralne ogrzewanie i piece stały się nie potrzebne.

- Chodźmy więc do mojego mieszkania, sprawdzimy, czy jest tam jakaś skrytka. Byłabym bardzo rozczarowana, gdyby się okazało, że nic nie ma.

Piękny piec, z kolumnkami, półfilarami, motywami lwich głów oraz ażurowymi drzwiczkami, jednak skrywał w sobie skrytkę, w której odnaleziono korespondencję Amelii z Piotrem Zabielskim. Emilia, dzięki podpisowi na obrazie, rozpoznała w nim malarza, który namalował portret ukochanej, wiszący do tej pory w salonie. Sama skrytka znajdowała się pod popielnikiem, sprytnie ukryta i zabezpieczona od góry grubą płytą żeliwną, tak aby schowane w niej przedmioty, nie uległy uszkodzeniu od gorąca.

W niewielkim metalowym pudełku, oprócz korespondencji znajdował się piękny, choć nie złoty, pierścionek, zapewne świadectwo, że Amelia i Piotr w tajemnicy zaręczyli się.

Piec okazał się prawdziwym dziełem sztuki, którym zainteresował się powiadomiony przez Jana konserwator zabytków i najprawdopodobniej, po rozebraniu, zostanie przeniesiony i złożony w muzeum.

Historia miłości Amelii i Piotra, była smutna i krwawa. Starszy o 15 lat, kandydat do ręki Amelii, oficer Włodzimierz Warka, kiedy odkrył romans tych dwojga, zaślepiony nienawiścią do młodego malarza, zastrzelił go, kiedy ten wracał od narzeczonej, w ciemną, pochmurną noc, tuż pod drzwiami jego mieszkania.

Tak się kończy historia złotego zegarka i starego pieca.

Manuel del Kiro

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Manuel del Kiro, dodano 21.08.2020 08:08

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.